Zeszyt 15. Rok I.

Kwiaty Powieściowe

Lwów 9. Maja 1886. **Tygodnik belletrystyczny.** Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi: we Lwowie rocznie złr. 7·40 — półrocznie złr. 3·70 — kwartalnie złr. 1·85. — Z przesyłką pocztową rocznie 8 złr. — półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr. — Za granicą rocznie 16 marek.

Adres redakcji i administracji:
Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.
(Kantor „Drukarni Polskiej“).

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

CYWILIZATOR

POWIEŚĆ

Wincentego Juliusza Wdowiszewskiego.

(C. d.) Na werandzie pojawił się lokaj.

— Ekonom przyszedł, proszę jaśnie pana...

— Cóż tak pilnego? Niech zaczeka — ofuknął Bzowski. — Albo niech tu przyjdzie...

Lokaj zniknął a po chwili ukazał się wezwany. Była to typowa postać ekonoma starej daty, podsadkowata, pękata, z zawiesistym wąsem, o rumianej, opalonej twarzy, w której dobroduszność szła w zawody z dobrze skrywaną chytrością. Na jednej ręce wisiała mu potężna palica, w drugiej trzymał kartkę papieru. Skłonił się do kolan obecnym i stał czekając na pytanie.

— Raport? — przemówił Bzowski, nie odwracając się od stolika i tylko wyciągnął po za siebie rękę, aby odebrać żądany przedmiot. Ekonom oddał kartkę i znów stanął przy drzwiach w oczekującej postawie.

Podczas gdy Bzowski odczytywał raport, Marja przemówiła do ekonoma:

— Jak się ma żona, panie Byczykowski?

— Lepiej, jaśnie panno; dziękować Bogu ulżyło jej po ziółkach, jakie jaśnie panna przysłać raczyła.

— To mnie cieszy. Niech się tylko szanuje, bo nie trudno po tak ciężkiej chorobie wpaść w recydywę.

— Dlaczego dziś tak mało ludzi przy zmłotce? —zapytał ostro Bzowski, patrząc w raport.

— Albo ja wiem, jaśnie panie. Chamów ani namówić do roboty, choć się człowiek z nimi obchodzi jak nieprzymierzając z jajkami.

— Wolałbyś się z nimi wasan obchodzić trochę ostrzej...

— A czy ja tak nie robię, jaśnie panie? Co to pomoże! Chamy teraz butne aż strach, a żadnemu nic nie powiedz, bo zaraz grozi urzędem...

— I wydatki bardzo kiepskie, jak widzę z raportu. Kopa pszenicy daje zaledwie trzy ćwierci.

— Cóż ja poradzę, jaśnie panie...

— Dlaczegoż, jak słyszałem, w sąsiednich Grzmotach pszenica daje wyżej korca...

— Alboż ja wiem, jaśnie panie...

— Wasan nigdy nic nie wiesz; to prawdziwe nieszczęście. Cała rzecz, że Byczykowski późno obrabia, późno obsiewa, nie dojrzy zbiorów i wydatki zawsze liche...

— Jaśnie panie, ja zawsze...

— Niecickawym andronów wasana — przerwał Bzowski. Po chwili znowu się odezwał: — Zresztą nic nowego?

— Nic tak dalece, jaśnie panie, tylko...

— Jest! No, gadaj już wasan...

— Pozbyliśmy się Pellara.

— Chwała Bogu! A jakim sposobem? Umarł?

— Gdzietam, jaśnie panie. Niemiec zdrów jak rzepa, tylko sprzedał Pellarówkę i wyniósł się...

— Krzyżyk na drogę — cieszył się Bzowski. — Mieliśmy z tym zawloką dosyć kłopotów. Ale czemu wasan nie doniósłeś mi, że on ma chęć sprzedania osady? Byłbym chętnie kupił, aby mi w środku ła-

nów nie siedział obcy i nie bruździł. Wasan zawsze spóźnić się musisz.

— Ja nie winien, jaśnie panie, jak mi trzeba Boga przy skonaniu. Pellar ani pary nie puścił przed nikim, że swoje gospodarstwo sprzedaje. Aż wczoraj przychodzi do urzędu gminnego, melduje, że się wydala i prosi o świadectwo dobrego zachowania się w gminie. I zaraz wieczór wyprowadził się z betami, inwentarzem i zapasami.

— Komuż sprzedał osadę?

— Powiadają, że panu z Leśnej.

Bzowski zerwał się z krzesła jak oparzony.

— Komu? — powtórzył zapytanie donośnym, gniewnym głosem.

— Panu z Leśnej, jaśnie panie...

— To być nie może? Poco by jemu taki kawałek gruntu w obcej wsi. Czy już oznajmiono w urzędzie o kontrakcie kupna?

— A podobno już. Pewnie że zameldowano, bo dziś rano jeździł do pisarza gminnego administrator z Leśnej i pokazywał jakieś papiery. Widział Jasiek fornal, jak chodził z interesem dworskim do urzędu.

— Czemuś mi wasan nie doniósł natychmiast?

— Czy ja wiedziałem, jaśnie panie, że ta rzecz jaśnie pana tak obchodzi.

— A to stary bałwan! — wykrzyknął zirytowany Bzowski. — Naturalnie że obchodzi! I bardzo obchodzi! W miejsce durnego Niemca, dostanę przemądrzałego, który mi będzie płatał figle... Żebyś mi wasan dawał jak największą baczność na Pellarówkę! Donosić mi o wszystkiem, co tam dziać się będzie. Żeby mi Niemcy ani jednego cala ziemi nie zajęli więcej jak miał Pellar! Pilnować jak oka w głowie, bo inaczej won ze służby! Rozumiesz wasan?!

— Rozumiem, jaśnie panie, i dlatego zaraz melduję, że od samego rana jedzie z Leśnej na Pellarówkę fura za furą i wiozą różności: żelaziwo, belki, drzewo, drabiny, wózki, cembrzyny, kołowroty i narzędzia górnicze. Widać że na Pellarówce będzie jakaś fabryka.

— Won mi z oczów! — krzyknął Bzowski, wywierając na ekonomie całą swoją złość. Przestraszony Byczykowski zrobił zwrot w tył i zniknął w przedsionku.

Bzowski wielkimi krokami przemierzał werandę. Był ogromnie zirytowany; przekipiał gniewem. Profesor widząc to, chciał do brata coś przemówić, ale Maryjka tak błagalnie na niego spojrzała, złożywszy ręce, że zaniechał zamiaru.

— Nie drażnijmy ojca — szepnęła. — On się sam zmityguje.

— Stefan! — krzyknął Bzowski całą piersią w głąb domu.

Wbiegł lokaj.

— Niech mi osiodłają Zazulę! Siej czas!...

Po oddaleniu się lokaja chodził jeszcze jakiś czas po werandzie, wreszcie stanął przy swojem krześle.

— Spuść się tu na ludzi! — irytował się głośno. — Ładnie wyjdziesz! Ładnie cię wykierują!.... A taki miałem chrap na Pellarówkę, tak mi była potrzebną... I dopiero wtedy donoszą o niej, gdy ją zagrabiło to Niemczysko..... Wlazł] mi w sam środek Bzowa! Bodaj to wszystkie pioruny zatrzasły!... Toż to będzie taniec!... Ej! żebym ja go miał teraz, pogruchotałbym mu wszystkie kości w jednym uścisku... Poczekaj! Takiego ja ci sadła za skórę zaleję, że ci się odechce polskiej ziemi jak Pellarowi. To nie z Barzykowskim i Przesmyckim sprawa!

Znów chodził po werandzie. Kilka razy spojrzał w stronę gdzie siedział profesor. Widocznie korciło go, że brat nic na jego uwagi nie odpowiadał, ani swego zdania nie objawiał.

— Cóż ty na to, Antoni? — spytał wreszcie sam, nie mogąc się doczekać przemówienia brata.

— Nic! — odpowiedział lakonicznie zapytany.

— Jak to nic? I ciebie to nie irytuje?

— Nie! — znów brzmiała zwięzła odpowiedź profesora, który najspokojniej zapalał cygaro.

— Ha! to trzeba mieć w sobie rybią krew nie szlachecką! — zawołał Bzowski, na nowo rozpoczynając przechadzkę.

Podczas tej wymiany zdań, Marja przeczuwszy nadchodzącą burzę, wysunęła się niespostrzeżenie z werandy i bracia zostali sami.

— Ja, mój Onufry — przemówił Antoni zwolna, zaciągając się dymem z cygara — patrzę na rzeczy zimno i bez uprzedzeń, dlatego tej irytacji twej nie mogę ani podzielać, ani pochwalać...

— I dla czegoż to? jeśli zapytać wolno.

— Dla tego, że jest ona niepotrzebną i niesłuszną. Niepotrzebną, bo ci nie pomoże, bo nie odrobi tego co się stało; a niesłuszną, bo rzecz z twojej stała się winy.

— No proszę! Z mojej winy! Czy słyszał kto coś podobnego? Z mojej winy!... To doskonałe!... — wykrzykiwał Bzowski zgorszony.

— Naturalnie — mówił dalej profesor z flegmą. — Nie odpowiedziawszy na dwukrotne grzeczne propozycje Bodmera, wystosowane w duchu bardzo pojednawczym, dałeś mu prawo bezwzględnego postępowania. Niemogąc z tobą przyjść do ładu po sąsiedzku, postąpił nieprzyjacielsko. Sam mu wojnę wypowiedziałeś. Będziesz widział, że prędzej czy później kolej swoją do skutku doprowadzi.

— Zobaczymy! Daleko ztąd do owąd. Pellarówka to jeszcze nie kolej!...

— I ja to wiem. Kto jednak z niczego w ciągu lat jedenastu stworzył takie fabryki, ten nie staje w połowie drogi i raz zamierzone plany do skutku doprowadzić potrafi. Rozporządza znacznemi kapitałami; jako jeden z największych producentów w kraju

musi mieć i z pewnością ma wpływy, a przynajmniej względy u władz; do tego wszystkiego, jak widać z rezultatów jego pracy, ma głowę na karku, więc z nim walka nierówna. Jeśli moje zdanie może mieć dla ciebie jakie znaczenie, sądzę że najlepiej zrobisz, gdy rozpoczniesz dobrowolne układy z Bodmerem.

— Nigdy! — zawołał Bzowski, uderzając ręką o poręcz krzesła.

— Jak sobie pościelesz, tak się wyspisz, mój Onufry. Nie jesteś zresztą gołowąsem i powinieneś wiedzieć jak postąpić.

— I wiem! Póki mi sił starczy, będę walczył z wszystkiemi wrogiemi żywiołami, z całą kulturtregerską czeredą, która nas chce pozbawić ziemi i chleba!...

— Szkoda tylko, że do tej walki jesteś licho uzbrojony — napomknął ironicznie profesor. — Z tamtej strony mają kapitały, wiedzę fachową, doświadczenia wieloletnie; popiera ich duch czasu, zmysł asocjacji, wszystkie w ogóle przymioty postępu, a ciebie co? W co ty jesteś zbrojny?

— W miłość tej ziemi i wiarę w dobrą sprawę...

— Jak na dziewiętnasty wiek, to trochę mało i z całym twoim zapałem patrjotycznym okrutnie mi przypominasz smutnej postaci rycerza z la Manszy...

— Otóż to!... Wszystko obrócić w śmieszność, to wasza zasada, panowie filozofy. Górą siła przed prawem! Niech w niwecz idą stare ideały!

— Tylko przestarzałe, mój kochany Onufry — łagodnie sprostował profesor. — Prawdziwe ideały są wiecznie młode i tych porzucać nie chcemy. Przyprowadzono ci konia, siadaj Farysie bzowski i krzyknij:

Pędź latawcze białonogi
Chmury z drogi, Bodmer z drogi!...

— Odprowadzić konia! — krzyknął Bzowski na służącego — już nie pojadę!...

— Ta stałość zamiarów — szyderczo powiedział Antoni — jest w istocie zdumiewającą.

— Czy nie widzisz, że ktoś do mnie jedzie? Ktoś z sąsiadów. Przecież mu nie czmychnę z przed nosa...

Profesor spojrzał w ulicę ogrodową i rzeczywiście zobaczył w niej powozik.

— Bodmer jedzie! — zawołał z uśmiechem.

— Co? On? — huknął Bzowski na służącego, który odprowadzał konia: — Jędrek! dawaj Zazulę!...

Profesor śmiał się homerycznie.

— Chciałem cię nastraszyć, mój zuchu..... To ktoś inny...

— Żarty wcale nie na miejscu — odburknął Bzowski i po raz trzeci zmienił rozkaz co do wierzchowca, którego wreszcie odprowadzono do stajni.

Turkot powozu stał się głośniejszy; obaj bracia patrzyli ciekawie na przybywającego; żaden go nie znał. Powozik stanął przed werandą. Wysiadł z niego mężczyzna średniego wzrostu i średniego wieku. Wbiegłszy po schodach na werandę, uchylił kapelusza i zwrócił się do Bzowskiego.

— Jestem Adolf Świrski, administrator z Leśnej i przybywam do pana dobrodzieja z polecenia mojego służbodawcy. Czy mogę prosić o kilka chwil rozmowy?

— Do usług pana — odrzekł Bzowski siadając. Profesor stojący obok widział, że Onufry zamierza przybysza z góry traktować, gdyż nie wskazał mu krzesła, mimo że sam usiadł pierwszy. Znieść nie mógł podobnego obejścia.

— Racz pan usiąść — przemówił do administratora, wskazując mu krzesło. — Jestem profesor Bzowski.

Administrator skłonił się z uszanowaniem i usiadł. Spełniwszy obowiązek grzeczności profesor chciał odejść.

— Zostań Antoni. Nie mam tajemnic dla brata.

— Jak chcesz. — Profesor spacerował po werandzie, mimo to ani jedno słowo z następującej rozmowy nie uszło jego uwagi:

— Czem mogę panu służyć? — zapytał Bzowski gościa.

— Jeździłem do tutejszego urzędu gminnego, aby zgłosić nabycie Pellarówki, którą dziś rano objęliśmy w fizyczne posiadanie na mocy kontraktu kupna.

— Mało mnie to obchodzi, mój panie — rzekł Bzowski na pozór oziębłe. — Pierwej czy później dowiedziałbym się jak miłe zyskałem sąsiedztwo. — Na słowo „miłe“ położył szyderczy nacisk.

— Zgłosiłem także w gminie uzyskane od rządu pozwolenie na poszukiwania górnicze w Pellarówce, a ponieważ granice nadanego nam pola górniczego sięgają aż na sąsiednie grunta pana dobrodzieja, przeto obowiązkiem naszym zaprezentować panu dekret władzy, który też przedkładam.

Administrator podał urzędowy papier Bzowskiemu.

— Przeczytajno Antoni — rzekł tenże, dając pismo bratu — bo ja po rosyjsku nie umiem.

Profesor czytał i równocześnie tłumaczył na polskie. Mocą niniejszego dekretu rząd nadawał Henrykowi Bodmerowi prawo przedsiębrania poszukiwań górniczych na gruntach jego własnych „Pellarówką“ zwanych z zastrzeżeniem temuż jednego całego pola górniczego i stanowił, że gdyby oznaczenie tego pola nie przyszło do skutku drogą dobrowolnej ugody z właścicielami sąsiednich gruntów, w takim razie wyznaczenie i odgraniczenie nadanego pola górniczego, drogą urzędową uskutecznione będzie na żądanie przedsiębiorcy...

— Nic a nic nie rozumiem — zawołał Bzowski. — Wszakże mnie nikt nie może zmusić do odstąpienia moich gruntów pod kopalnie obce....

— Także coś gadasz, mój Onufry — rzekł profesor, kładąc papier na stolik. — Państwo, mój kochany, dbając o rozwój przemysłu krajowego, o ogólny dobrobyt i rozwijanie się kultury, ogranicza w pewnych razach prawo własności pojedynczych obywateli i część tego prawa przenosi na innych mocą nadania, rozumie się, że za wynagrodzeniem straconych korzyści stronie poszkodowanej. Prawo górnicze nadaje więc panu Bodmerowi prawo korzystania także z twoich gruntów, o ile one leżą w obrębie nadanego pola górniczego; nadaje mu przywilej zakładania próbnych szybów także na twoich polach, do zakresu nadania wchodzących, za wynagrodzeniem szkód na nich poczynionych.

— Ależ ja na to nigdy nie pozwolę — krzyknął Bzowski — aby mi ktoś myszkował w moim majątku...

Administrator uśmiechnął się tylko.

— Pan dobrodziej pozwoli uczynić sobie uwagę, że przeciw nadaniu górniczemu nie istnieje prawo odwołania się....

— Jak to? Wszakże mnie nie pytano, czy się zgadzam na nadanie!...

— Ustawa nie wymaga takiego zgodzenia się postronnych — wyjaśniał profesor bratu. — Rząd wybiera z pomiędzy zgłaszających się o prawo kopalnicze tego, który mu się wydaje najodpowiedniejszym, a że o to prawo zgłosił się tylko pan Bodmer, przeto jemu wystawiono nadanie... Apelacja do Pana Boga...

— Mój pryncypał — rzekł administrator — upoważnił mnie do rokowań względem wynagrodzenia za grunta pod kopalnię zająć się mające, o ile one leżą w obrębie nadanego pola...

— Powiedz pan swojemu pryncypałowi — zawołał zirytowany Bzowski — że w żadne ugody wchodzić z nim nie myślę; że pola zająć sobie nie dam i w tej chwili jadę do gubernialnej władzy, aby udaremnić jego zamachy na cudzą własność...

— Ależ panie dobrodzieju, tu o zamachach nie może byc mowy. Działaliśmy i działamy jawnie, prawnie i po obywatelsku; chcemy sprawę załatwić także po obywatelsku, ale przy swojem będziemy stali w razie oporu ze strony pana dobrodzieja. Protesta jego nie wstrzymają wykonania dekretu; od tego zabezpiecza nas prawo górnicze.....

— Strachy na Lachy, mój panie... Znam się na tem... Nie ma o czem mówić... Żegnam pana!...

Zirytowany Bzowski wcale niegrzecznym tonem wymówił te słowa, a pożegnalne skinienie głowy było tak niedwuznaczne, że administrator widział się zmuszonym zakończyć rozmowę, aby się nie narazić na większą niegrzeczność ze strony pana domu.

Profesor obserwujący tę scenę, ruszył ramionami z politowaniem.

Administrator schował papiery do kieszeni, skłonił się gospodarzowi i profesorowi bardzo grzecznie i zeszedł do powoziku, który na niego czekał przed werandą.

Po chwili powozik znikł w alei ogrodowej. Po oddaleniu się administratora Bzowski przeszedł się kilka razy po werandzie, wreszcie klasnął w dłonie i skinął na parobka, który się kręcił przed stajniami.

— Jędrek! Zaprzęgaj bułane do koczyka!... Odwieziesz mnie do Ząbkowiec... Tylko prędko!... Żebyś mi za pół godziny był gotów do drogi! Paszoł!...

Po wydaniu tego rozkazu znów chodził po werandzie. Profesor zapaliws y cygaro, z uśmiechem obserwował irytującego się brata.

— Onufry — przemówił — nim pójdziesz do gubernatora, poradź się w mieście swojego nadwornego adwokata. Lepiej w cztery oczy połknąć wstyd, jak skompromitować się przed władzą nieznajomością ustawy... Zawsze to bardzo głupio wygląda...

— Nauk nie potrzebuję — burknął gniewnie Bzowski. — Jużem na nie za stary!...

Wyszedł.

Profesor przez chwilę patrzył za nim, potem ruszył ramionami.

— Donkiszot szlachecki! Z motyką rzuca się na słońce. Ot! Nieszczęście! Kiedy ci ludzie nabiorą rozumu?...

Z takiemi myślami opuścił profesor werandę i poszedł do ogrodu, na przechadzkę. (C. d. n.)

MARZNĄCE FALE

POWIEŚĆ

przez Walerego Przyborowskiego.

XIX.

(C. d.) Burza szalała z niezwykłą mocą. Po kilkutygodniowych upałach, zdaje się, że wszystkie wody wyssane przez słońce z ziemi zebrały się, by na nią spaść teraz. Biblijne upusty rozwarły się naprawdę. Z szarej, mrocznej przestrzeni, stanowiącej teraz niebo, spadały z szumem, trzaskiem, jękiem długie strumienie wody, rozpryskując się przy uderzeniu o ziemię w drobne miliony kropelek, które pryskały, wrzały, toczyły się, rozbiegały. Zrobiło się tak ciemno, że w pokojach musiano pozapalać światła. W parku na ścieżkach potworzyły się wielkie kałuże wody w jednej chwili prawie i woda ta z szumem, zasilana ciągle nowymi strumieniami deszczu szukała sobie ujścia, podmulała gazony, łamała kwiaty i krzewy i formalnemi rzekami biegła aleją ku stawowi. Chłostana nieustannie przez deszcz, tworzyła długie, cienkie, lejkowate prążki, które zrywały się ku górze, by spaść zaraz napowrót. Wicher był tak silny, że zrywał fale na tych kałużach i pędził je z szumem przed sobą. Po dachu dudniło, jakby maszerował

batalion wojska i bił w bębny. Z rynien toczyły się z pluskiem całe fale wody pędzonej z gwałtownością, wyrzucanej z gniewem jakimś wściekłym. Świat przybrał szarą, bezbarwną, mętną postać targaną konwulsjami zniszczenia.

— Oto — wołał Julek wskazując na rozgrywający się przed nim obraz — oto zasada zniszczenia bierze górę nad zasadą życia. Od czasu do czasu natura musi się sama szarpać wściekłemi zębami.

Szum dochodził aż do pokoju i głuszył rozmowę. Coś wiekuiście, nieskończenie złego wrzało w przyrodzie. Wicher z jękiem wył wśród plusku, trzasku, ponurego szmeru deszczowego. Drzewa gięły się jakby były żywe, pochylały się gwałtownie, naginały całą masą swych gałęzi i liści i z głuchem warczeniem tajemniczego gniewu toczyły upartą walkę z wichrem. Całe masy liści i drobnych gałęzi unosiły się po powietrzu, szumiały i padały na rzeki deszczowe. Niekiedy wiatr, biegnący gdzieś tam z góry, jakaś nowa fala powietrza rozkołysanego burzą nadbiegała, uderzała z boku w te strumienie wody, lejącej się z nieba, porywała je, zmieniała ich kierunek, rozbijała w miliardy drobnych kropelek, które biegły, padały, uderzały się o siebie, tworząc delikatną sieć wody. Wszystko ze sobą walczyło, parło na siebie, niszczyło się. Zdawało się, jakby przyroda dostała nagle konwulsji. Melancholijny jej majestat, pełen powagi i ciszy jakiejś drzemiącej i patrzącej niezgłębionym oceanem tajemnic, zmienił się w coś poszarpanego, szalonego, pełnego cierpień, wściekłości i gniewu.

Zdawało się, że każde drzewo płacze i skarży się, że wicher aż jęczy z bólu, że świat jednem słowem cierpi niesłychanie. Z tych posępnych, szarych głębin, kłębiących się w sobie, od czasu do czasu z przeciągłym hukiem wypadał piorun, a trzask jego powtarzał się długo i groźnie. Gzygzaki błyskawiczne, piorunne, rysujące się od czasu do czasu na czarnem niebie, oświecając na chwilę poszarpane chmury, piętrzące się na siebie, ruchliwe jak fale morskie, sprawiały przykre, wstrząsające wrażenie. Mówiły one, że są pociskami zniszczenia działającego z niczem niewzruszoną bezwzględnością.

Siły zniszczenia były teraz panami. Woda porywała wszystko, co spotkała na drodze, wicher druzgotał drzewa. Wielka topola włoska zwaliła się na drodze prowadzącej do domu. Widziano z okien jej wysmukłego trupa, leżącego w poprzek tej drogi. Cały dziedziniec pałacu był w wodzie, a strumień wyrzucany z paszczy trytona na środku, gdzieś zniknął w ogólnej powodzi. Niekiedy wiatr strącał zabite wróble z drzew na dziedziniec pałacu. Przepełniony basen fontanny wylewał wodę strumieniami na trawę, która leżała jak gdyby ktoś przeszedł po niej i zdeptał ją doszczętnie.

Przez ciąg całej godziny burza nie słabła ani na chwilę w swej mocy. Deszcz lał, wicher wył i pioruny biły, jakby gdzieś w toniach przestrzeni toczono wielką bitwę. Nakoniec zerwał się ni ztąd ni z owąd grad. Jeszcze większe ciemności zaległy świat. Ogromne kawały lodu, wielkości jaja gołębiego z trzaskiem spadać poczęły. Całe gałęzie drzew obcięte niby nożem waliły się na ziemię. Woda na dziedzińcu chłostana gradem pryskała w górę z siłą niezwykłą. Szyby pękały w pałacu i musiano okiennice pozamykać. Dach dudnił jakby wozy po nim jechały. Temperatura spadła tak nizko, że zimno przeciskać się poczęło do pokojów dobrze oświetlonych a ztąd nie pozbawionych ciepła. Gruba warstwa lodu zaległa dziedziniec i ogród, i z trudnością topniała.

Grad ten przeraził Millera. Z łatwo wytłómaczonem uczuciem groźnej, jaka go dotknęła klęski, chodził milczący od okna do okna i patrzał na szarpiący się w konwulsjach świat.

— Moje zasiewy! moje zasiewy! — szeptał. — Jeżeli grad je zbije, stracę co najmniej sto tysięcy złotych.

— Cóż to dla ciebie znaczy, Fryc? — uśmiechała się Mina.

— Co znaczy? — szepnął Miller, nachylając się jej do ucha — co znaczy? Jest to początek ruiny, początek końca...

— Żartujesz chyba! Ale zresztą nie mówmy o tem, są goście...

Jakoż byli goście i w wielkiej, całej złotej, przepełnionej wspomnieniami przeszłego stulecia, sali, bawiono się wybornie wśród odgłosów szalejącej zewnątrz burzy.

Iza wyglądała dziś prześlicznie. Ubrana była w krótką, obcisłą sukienkę jasną, doskonale oddającą jej zwinną, zręczną, dobrze zbudowaną figurę. Jej piękne włosy rudawego koloru, uczesane umiejętnie od blasku lamp zapalały się błyskawicami roztopionego złota. Usta z rubinu, okalające białe zęby, mówiły o rozkoszy pocałunków. Wielkie turkusowe oczy istotnie przypominały niebo i jaskółki rozbijające się o nie. Była wesołą, śmiejącą się, wcale nieżenowaną tem, że się znalazła nagle w obcym, nieznajomym sobie zupełnie domu.

Zarembie, który usiadł w kącie i w milczeniu nie spuszczał ani na chwilę wzroku z Izy, wydawało się, że jest w jej pokoiku w Warszawie, że ich tylko dwoje. Była taką jak zawsze. Śmiała się, deklamowała, skakała, tańczyła nawet, na chwilę nie spoczywając.

Kobiety patrzyły na nią ze zdziwieniem. Pani Łucja usiadła na kanapie i milcząc zapatrywała się w szalejącą Izę. Mina za to ożywiła się niezmiernie i sama śmiała się, unosiła, gorączkowała. Joanna uciekła zgorszona. Panna Karolina ruszała ramionami

i patrzała z wyrazem oburzenia na aktorkę, ale się nie odzywała wcale.

Iza mówiła o wszystkiem, przeskakując z przedmiotu na przedmiot, bawiąc siebie i innych. Rozweselała obecnych swą naiwnością, nawet Miller nie mogący od czasu gradu usiedzieć ani na chwilę i wciąż chodził po sali, śmiał się. Posłał po rządcę, jak tylko burza uspokoiła się nieco, żeby się dowiedzieć, jak tam zasiewy wytrzymały klęskę.

Rządca nie przychodził.

Miller niecierpliwił się, wybiegał na ganek i patrzył, jak na dziedzińcu wody powoli opadają, jak drzewa, trawy i drobne rośliny są strasznie zmordowane przez grad. Deszcz jeszcze wciąż padał, drobny, rzęsisty, ale bez wichru i piorunów. Wielkie błyskawice oświetlały tylko od czasu do czasu pół nieba i rzucały purpurowe blaski na obraz zniszczenia, jaki otaczał pałac dokoła. Powietrze było świeże ale zimne.

Miller spoglądał na to wszystko z ganku i wracał do sali mocno oświetlonej, ciepłej, jasnej, pełnej zbytku przeszłowiekowego. Iza biegając i oglądając wszystko, znalazła szkatułkę grającą. Nakręciła ją i szkatułka poczęła grać gawota tony nikłemi, słabemi i pełnemi nieopisanej melancholji. Co chwila gawot ten, niby tragiczna sielanka przeszłości, urywał się, gasł jak płomyk, by znów rozpocząć swą melodję pozornie wesołą a przecież smutną. Szkatułka była stara, zepsuta i dlatego urywała nutę, ale miała ton nadzwyczaj miły, cichy, jedwabisty i melancholijny. Muzyka ta robiła pewne silne, nie dające się dokładnie określić wrażenie w tej wielkiej sali, pełnej złoceń zczerniałych, bogów i nagich bogiń, portretów i barokkowych mebli, w której zdawał się jeszcze drżeć w powietrzu szelest jedwabnej sukni a la Pompadour, jakiej markizy lub komtessy. Muzyka tego gawota, tak wybornie oddająca w sobie wszystkie ideały rozpustnego wieku, na tle szumu deszczowego, który z zewnątrz dochodził, wyglądała jak delikatny, złocisty, spłowiały już nieco haft pelowy na szarej kanwie.

Iza, która z początku usłyszawszy tony gawota, klasnęła w białe ręce i wołała do Julka:

— Proszę pana, zatańczmy gawota!... — nagle ucichła, zatrzymała się i spoważniała, słuchając tej muzyki, która wychodziła jakby z grobów, jakby za nią długim korowodem szli margrabiowie w kryzach i perukach, margrabiny pół nagie w idylicznym stroju Dafnis lub Chloe. Słuchała z wielką uwagą i z widocznem na twarzy wrażeniem, potem rozpłakała się. Łzy jak perły potoczyły się po jej białej i różowej twarzyczce.

— O! jaki smutny ten gawot... — rzekła, gdy szkatułka przestała grać.

— Pani płaczesz! — spytał Miller, podchodząc ku niej i stając — wierzę bardzo. Muzyka w ogóle denerwuje, rozstraja nerwy, rozmiękcza je. To też wydaje się może dziwacznem moje zdanie, ale ja gdybym miał władzę, zakazałbym w ogóle w Polsce muzyki. Naród polski jest niesłychanie wrażliwy i muzyka działa nań tak samo, jak na panią. Denerwuje go, miękczy, rozmarza, roztkliwia. A w Polsce nie wolno być zdenerwowanym, miękkim, rozmarzonym i tkliwym. Tu trzeba żelaznej energji i ciągłej, nieustannej trzeźwości. Jak mi Bóg miły, zakazałbym muzyki w tym kraju. Ot, co ona zrobiła z wesołej dziewczyny!

Mrucząc jeszcze coś niewyraźnie, poszedł do okna popatrzeć na smutniejszą jeszcze muzykę wszechświata, bo na deszcz padający z monotonnym pluskiem. Kobiety śmiały się ze zdania Millera, a Iza otarła już łzy i podbiegłszy do ukrytego w kącie Zygmunta Zeremby, stanęła przed nim w dramatycznej pozie i głosem pełnym łez, z akcentem aktorskim mówić poczęła:

O! każ mi, zamiast być żoną Parysa,
Skoczyć ze szczytu wieży, w rozbójniczych
Gościć jaskiniach, w legowiskach wężów,
Zamknij mię w jedną klatkę z niedźwiedziami,
Albo mnie wepchnij nocą do kostnicy
Zewsząd pokrytej szczątkami szkieletów,
Poczerniałemi kośćmi i czaszkami.
Każ mi wejść żywcem w grób świeżo kopany
I w jeden całun z trupem się obwinąć:
Wszystko to dawniej dreszcz budziło we mnie.
Ale bez trwogi uczynię to zaraz,
Bylebym tylko pozostała czystą
Kochanką... mego lubego kochanka...

Przy ostatnich słowach głos jej drżał od wzruszenia. W chwili, gdy wszyscy poczęli chwalić i dziękować, Zygmunt wstał, zbliżył się do niej i szepnął:

— Co pani robisz? przecież tu jest moja żona!

Iza spojrzała na niego, potem na panią Łucję, siedzącą na kanapie i mówiącą coś do jej matki, która już drzemała, jak zwykle brudna i z czerwonemi na twarzy plamami, i poczęła się głośno śmiać:

— Ha! ha! ha! jakie to zabawne.

I zwracając się ku szkatułce, poczęła mówić:

O melancholjo! nimfo! zkąd ty rodem?
Czyś ty chorobą jest epidemiczną?...

I znowu się śmiała głośno, szczerze, swym srebrzystym śmiechem, który brzmiał, jak gdyby kto perły rzucał na złotą tacę.

Znów wzięła szkatułkę do ręki i rzekła:

— Czyżby ona tylko gawota grała? Musi przecież i coś innego grać. Zobaczymy!

Nakręciła ją znowu i rozległy się takie same ciche, sentymentalne tony menueta.

— Menuet! ach jak to dobrze! jak to dobrze! Może zatańczymy menueta? Panie Zaremba proszę.

I podała rękę Julkowi. Za jej przykładem poszła Mina, zapraszając Zygmunta i wobec śmiechu pozostałych osób rozpoczęto ten taniec pełen ukłonów,

pełen dworskiej galanterji, sentymentalnych ruchów, idyllicznych aspiracyj. Śmiano się i oklaskiwano tańczących. Iza ze zręcznością i gracją baletnicy wykonywała wszystkie ruchy i „pas“ menueta. Nawet Miller zatrzymał się w swej nieskończonej przechadzce od okna do okna i patrzył z uśmiechem zadowolenia na ten taniec tak dosadnie, tak wybornie charakteryzujący dobę swego powstania.

Tańczono jeszcze, gdy weszła Joanna i z wyrazem niewysłowionej grozy spojrzała na scenę przed nią roztaczającą się. Dwie tańczące kobiety Iza i Mina, obu rękami trzymały podniesione nieco spódniczki i widać było ich maleńkie, ślicznie obute nóżki. Słychać było tylko ciche tony grającej ciężko, powoli, z trudem wielkim szkatułki i szelest sukienek tańczących, i delikatne stąpanie ich na palcach.

Joanna z powagą surową na twarzy, z Jowiszowem zmarszczaniem czoła przeszła przez salon, nie patrząc już wcale na tańczących i siadłszy przy pani Łucji, spytała:

— Czy ta aktorka zamierza tu nocować w domu mego brata?

— Naturalnie. Deszcz pada jak z cebra.

— Nie rozumiem, jak Fryderyk mógł na to zezwolić. Przecież w żadnym szanującym się domu nie przyjmują tych pań...

— Zapewne, ale tu wyjątkowe jest położenie, a przytem ta pani tak nas wybornie bawi — mówiła pani Łucja, śmiejąc się z jakiejś figury, którą kobiety wykonały dobrze, ale panowie całkiem źle.

W tej chwili służący głośno zaanonsował, że kolacja gotowa.

Ruszyli się wszyscy i stary burgund więcej jeszcze rozwiązał języki, wejrzenia nabyły ognia, i rzucano je sobie z pewnem namiętnem uniesieniem. Po kolacji gdy ruszono do sali i dziękowano sobie, Julek uczuł, jak mu Mina wsunęła w rękę karteczkę. Wszystkie ognie go przeszły. Skorzystał z zamieszania i pobiegł do drugiego pokoju. Tam przeczytał, co następuje:

„...Czekam cię o drugiej po północy w maleńkim pokoiku z Ledą i Amorem...“

Słowa te zrobiły na nim takie wrażenie, że omal nie skoczył w górę z radości. Zaśmiał się wesoło i schował starannie karteczkę. Właśnie w tej chwili doszedł do gruby, donośny głos rządcy, który nakoniec się zjawił, i mówił do Millera:

— Proszę pana, grad wszystkie zasiewy stłukł z kretesem! (C. d. n.)

Kwiat szczęścia.

(C. d.) Henryk posiadał wrodzoną niechęć do szerokich, wygodnych dróg i wybierał zawsze, jeśli to było możebnem, urwiste górskie lub leśne drogi, na których go żadne przeszkody ni przepaście nie żenowały. I dziś też był posłuszny swemu przyzwyczajeniu, wskutek czego nie spotkał dobrze znanej postaci, która przez drogę właśnie przechodziła. Nie był to Gwido Hellmar, który pospiesznym krokiem dawno do bezpiecznego asylu willi Rehfeld się schronił, lecz doktor Gilbert, który również w tym kierunku dążył.

Młody doktor po dokładnym namyśle zdecydował się wreszcie, niepewność co do swego losu natychmiast rozwiązać. Doktor Eberhardt jako szczęśliwy lekarz był obecnie u pani Rehfeld wszechwładnym panem, było przeto łatwem do przewidzenia, że wpływ swój zechce wyzyskać, by szczęście swego asystenta zniszczyć lub przynajmniej przeszkadzać na każdym kroku. Prócz tego miał Gilbert to smutne przeczucie, że heroizm, którym dzisiaj tak skutecznie zwalczył nieprzyjacielskie potęgi, wkrótce go opuści bezpowrotnie. Należało przeto z czasu korzystać.

Udał się naturalnie znowu na boczną stronę parku, gdzie się znajdowała znana nam altana i znowu dopisało mu szczęście. Na stoliku stał koszyczek z robótką, obok leżał dobrze mu znany papier a na ławeczce siedziała Andzia w własnej osobie.

Nie odczytywała już wierszyka z tej prostej przyczyny, że umiała go na pamięć, lecz łamała sobie głowę nad tem, dlaczego wczoraj oddawca po włożeniu go w jej ręce, tak na łeb na szyję uciekał. Wiersz rzeczywiście nie wymagał objaśnienia, mówił aż nadto sam za siebie, lecz można było przecież na odpowiedź poczekać.

Andzia wiedziała dobrze, że kuzyn Henryk był jej na przyszłego małżonka przeznaczony, a Henryk był bezsprzecznie o wiele piękniejszy, milszy, lepiej ułożony i zawsze gotowy figle i psototy z młodą kuzynką wyprawiać, mimo tego jednak cichy i nieśmiały Gilbert odrazu opanował jej serduszko. Stara a niewyjaśniona zagadka sypatji, która często najróżnorodniejsze natury ku sobie zbliża i tu została nierozwiązaną.

O kuzynka Henryka nie troszczyło się dziewczę zupełnie. Ten przecież nie brał żadnej rzeczy na serjo, więc też i tej miłości nie mógł brać za taką. On zresztą z swem wisusostwem i pustotą nie posiadał kwalifikacji na męża, a mama... no, tę przecież łatwo pozyskać, gdy jej się serce otworzy. Andzia wreszcie była dawno przyzwyczajona w swej macosze widzieć tylko starszą siostrę.

— Panno Anno! — zabrzmiał zkądeś cichy i drżący głos. Młode dziewczę zadrżało, purpura okryła jej lice, nie poruszyła się jednak.

— Panno Anno! — dał się słyszeć głos znowu i okazała się teraz za liśćmi altany i sztachetami parku nieśmiała postać Gilberta.

— Panie doktorze? — zapytała Andzia pytająco i nieśmiało.

— Czy czytała pani mój wierszyk? — z poza sztachet dało się znowu słyszeć ciche zapytanie.

— Tak — brzmiała ledwie dosłyszalna odpowiedź.

— I... nie gniewa się pani?

Andzia potrząsła przecząco głową nie odpowiadając słowem, Gilbert jednak widocznie dobrze zrozumiał to poruszenie, gdyż z wielkiej radości zapominając o dzielących go żelaznych sztachetach, począł się cisnąć przez nie, że aż zgrzytać poczęły.

Przestraszona Andzia powstała i teraz dopiero przyszło jej na myśl, jak niegrzecznie jest pozwolić młodemu człowiekowi stać na zewnątrz. Rzekła też wahająco:

— Może raczysz pan wejść na chwilę, panie doktorze...

Sądziła naturalnie o wejściu przez bramę ogrodową, Gilbert jednak wybrał drogę, którą dostali się wczoraj z Henrykiem, i odważnie począł przełazić sztachety, z największem zadowoleniem Andzi, która znajdywała to nader wysoko romantycznem, iż oblubieniec tą drogą do niej przychodzi. To zastępywało w jej mniemaniu najzupełniej jedwabną drabinkę i Gilbert w tej chwili niepomiernie zyskał w jej oczach. Po chwili przelazł je szczęśliwie i wszedł do altany.

Dziewczę usiadło napowrót na ławkę i oczekiwało z zpuszczonemi oczyma i bijącem sercem otwartego wyznania, które teraz stanowczo nastąpić musiało.

Doktor jednak usiadł na drugą ławkę i również spuścił oczy. Przeczucie go nie omyliło — cały heroizm gdzieś się zatracił. Naprzeciw ukochanej powróciła dawna nieśmiałość. Wargi nie były zdolne wymówić choć pół słowa.

Siedzieli tak długą chwilę milcząco a milczenie to stawało się coraz komiczniejszem. Wtem dał się słyszeć na drodze turkot powozu. To bezwątpienia doktor Eberhardt. Gdy on nadjedzie, wszystko przepadło! Tu nie ma nawet minuty do stracenia! Gilbert też wreszcie zebrał całą odwagę i głosem gorżkiego zwątpienia zawołał:

— Panno Anno... ja panią kocham!

Andzia odetchnęła. Dzięki Bogu, przecież przemówił! Oczekiwała jeszcze przynajmniej jakiego umotywowania tego wyznania, jakiegoś wytłumaczenia, natomiast nalegający a nie krasomowczy kochanek dodał tylko prędko:

— I proszę o twoją rękę!

Młode dziewczę było zdumione, krótkością wyznania, które na siebie tak długo czekać dało. Tak krótko i węzłowato nie można było jednak tej rzeczy załatwić. Nieśmiało przeto i cokolwiek kwaśno odrzekło z cicha:

— Ależ panie doktorze... to spotyka mię... rzeczywiście... tak niespodziewanie...

— A jednak od tak dawna kocham panią! — wpadł jej Gilbert w słowo. — Od roku kocham, nie śmiałem jednak... nie miałem nigdy odwagi... wyznać to pani... I cóż pani na to, panno Anno?

Wymówił te słowa i jej imię tak czułym i pokornym tonem, jakby śmierć lub życie jego od tej odpowiedzi zawisło. Po licach dziewczęcia przebiegł dawny figlarny uśmiech. Poznała, że nieśmiałemu i niezręcznemu musi przyjść z pomocą i cicho, całkiem cichutko szepnęła:

— Wszak ja się nazywam... Andzia.

— Andzio! Anulko! — zawołał Gilbert o wszystkiem już zapominając. Teraz nie potrzebywał już żadnych podszeptywań ani pomocy dodającego mu odwagi przyjaciela. Stanowcze słowo było wyrzeczone, rozwiązało mu ono też usta, a jak lichemi były jego wiersze, tak wymowną teraz proza, którą miłość swoją wyznawał, gdyż pod tym względem przeszedł nawet wszelkie oczekiwania Anulki.

Turkot powozu, który o wszystkiem zdecydował, który jednak willę pominął, ucichł w oddali, w altance siedziała zaś szczęśliwa para narzeczonych, która swe zaręczyny przypieczętowała pierwszym pocałunkiem.

Henryk tymczasem wrócił do willi, nie zastał jednak w domu nikogo. Jak go służący objaśnił, Ewelina przed pół godziną wyszła na poblizką polankę górską, Hellmar zaś również przed pół godziną wyjechał do sąsiedniego E. Zostawił jednak list do Henryka z nakazem doręczenia natychmiast po powrocie. Henryk wziął bilet a otworzywszy czytał go już w drodze ku polance górskiej. Zawierał nie wiele wierszy.

„Kochany Henryku! Niespodziewany wypadek powołuje mnie na dni kilka do E. Spodziewam się, iż przykre zajście dzisiejsze do tego czasu samo z siebie się załatwi i liczę w tem na twoją przyjaźń, że wszystko możliwe uczynisz, aby mi nieprzyjemności oszczędzić. Działaj jak sam uznasz za stosowne — spuszczam się w tem zupełnie na ciebie. Sądzę, iż z końcem tygodnia będę z powrotem. Twój stary przyjaciel Gwido“.

— Podły! — mruknął młody człowiek zaciskając zęby i mnąc z irytacji papier w dłoni. — Teraz tchórz ucieka, gdyż się obawia zemsty dziewczęcia i mnie pozostawia załagodzenie publicznego skandalu! To się już na szczęście stało... Kundzia opamiętała się... Stary przyjaciel! Rzeczywiście już najwyższy czas zakończyć raz tę komedję przyjaźni. Gdy tylko będzie możebne oszczędzę Ewelinie tej przykrości, by widziała swego poetę z wymarzonej wyżyny spadającego. Gdyby jednak już bardziej ją usidlił, porwę bezwzględnie sieci, któremi ją oplątał, wyjawiając całą prawdę.

Ewelina znajdywała się rzeczywiście na małej górskiej polance. Siedziała pod drzewem na

omszałym odłamie skały i czytała. Było to jej miejsce ulubione i odkąd przybywające siły dozwalały jej na dalsze przechadzki, odwidzała to miejsce jak tylko mogła.

Wiosna w tym roku nawet i tu w górach jaśniała całym urokiem. Nie była to wiązanka deszczów i zimnych wiatrów jak w zeszłym roku, lecz zupełne zbudzenie się natury do słonecznego i kwiecistego życia. Dzika jabłoń nie posiadała już białego płaszcza kwietnego, stała teraz okryta w jasno zielonym wieńcu młodych listków, wszystkie krzewy i drzewka okryte były bujnym liściem a całe morze zieloności w około, niebieskie linje gór i całe powietrze przepełnione było złotem światłem słonecznem, wszystko oddechało świeżością majową.

— Daruj pani, gdy przeszkadzam — rzekł Henryk, widząc że Ewelina przy jego zbliżeniu jakby przestraszona głowę podniosła. — Byłaś pani tak zaczytana, żeś mego zbliżenia się nie słyszała

Twarz Eweliny wyrażała rzeczywiście najwyższe wzruszenie, policzki były zarumienione, oczy błyszczały jak w natchnieniu, wyglądała ogólnie jakby nie wiedziała co się wokół niej dzieje. Oczy młodego człowieka zwróciły się na książkę, którą w ręce trzymała i z źle ukrywanem zaciekawieniem i niepokojem zapytał:

— Byłaś pani tak bardzo zaczytana w „Kwiecie alpejskim“? Jak widzę rzeczywiście przeszkodziłem.

— O nie, czytam to już drugi raz — odrzekła Ewelina — lecz zajęło mnie jeszcze więcej niż pierwszym razem.

— Rzeczywiście? Nie zgadzasz się pani przeto z sądem Gwidona?

Ewelina nagłym ruchem zamknęła książkę.

— Nie pojmuję Hellmara! Jest rzeczywiście ślepym na piękności tego dzieła lub też chce być takim. Obawiam się, czy zazdrość poety mniejszego ku większemu nie gra tu stanowczej roli.

— Ku większemu? Więc pani przekładasz rzeczywiście tę burzliwą poezję nad sielankowe i spokojne wiersze Hellmara?

— Pan żartujesz jak zwykle! — rzekła młoda kobieta z wyrzutem. — Jak gdyby można te dwie poetyczne natury choć w czemś porównywać a cóż dopiero w jednym rzędzie stawiać. Hellmara miękka, eolska liryka ma coś z światła księżycowego, a w tym dramacie zieje ogniem, pali i świeci jak skwar słońca południowego! Jużem czyniła sobie z tego powodu zarzuty lecz wrażenia tego nie mogę w sobie zmienić. Cała poezja Hellmara zbladła przy tych słowach pełnych ognia i siły. Nie słyszy się rzewnych tonów śpiewaka wiejskiego gdy pełen siły głos dzwonu zadźwięczy.

Mówiła to z wzrastającem uniesieniem, lecz nie widziała w oczach swego towarzysza szczególnego błysku, jak gdyby zadowolonej dumy i wewnętrznej radości. Jakieś namiętne i gwałtowne słowa zdawały się drgać na jego ustach, powstrzymał je jednak siłą woli i odrzekł pół żartobliwie:

— Cóżby na to Gwido powiedział, gdyby panią słyszał! Uczułby się śmiertelnie obrażonym, gdyż jest więcej niż drażliwym w tym punkcie.

— Och, wiem o tem. Jest to jego słabą stroną, lecz o ile wiem jedyną. W każdym innym względzie jest ideałem człowieka! To jest właśnie, co mu moją sympatję zapewnia, iż jest niejako dopełnieniem swych utworów. Czyś pan słyszał o jego odjeździe?

— Tak — odrzekł Henryk lakonicznie.

— Wyjechał na dni kilka do swego przyjaciela do E. który tam w przejeździe zachorował. Posłaniec z depeszą spotkał go na przechadzce i tylko wstąpił na chwilę by się ze mną pożegnać i postarać się o powóz. Obawiam się Henryku, że pan zapoznajesz wartość swego przyjaciela. Odjazd jego raptowny jest nowym dowodem, jak dalece posuwa swą ofiarność, gdy chodzi o kogoś, który jest mu bliskim.

Henryk oparł się o pień drzewa i spoglądał milcząco na młodą kobietę, która tak mimowolnie i bez głębszej myśli „idealnego poetę“ w najgorszem świetle przedstawiała. Czy serce jej rzeczywiście zakrwawi gdy mu tę wiarę odbierze? W każdym razie trzeba to wyjaśnić.

— Chciałbym się o jedną rzecz zapytać — rzekł Henryk. — Zadać pytanie, do którego nie mam prawa, które pani może się wydać natarczywe i niestosowne, jednak postanowiłem je uczynić, choćbym się naraził... czy Gwido oświadczył ci się Ewelino?

Ewelina spuściła oczy i odwróciła głowę.

— Henryku, to jest...

— Niedyskretne w najwyższym stopniu, wiem o tem! Lecz wiele mi zależy na pewności pod tym względem. Chcę to z twoich własnych ust słyszeć, czy ci się oświadczył?

— Tak — brzmiała cicha odpowiedź.

— I dostał kosza?

— Było to w przeszłym roku — mówiła Ewelina wymijająco.— Stałam wtedy nad grobem i zwróciłam jego uwagę na to, że nie mam do rozdania ani szczęścia ani życia.

— A jeżeli powróci i powtórzy swą prośbę? A powróci z pewnością, w takim razie Ewelino nie odwracaj się od niego. Nie broń się dawnemi myślami o śmierci, czyliż nie przeczuwasz o co mi idzie? Jeżeli pewnego dnia Gwido o ocaloną starać się będzie, ona musi mu uledz.

— Nie — odparła młoda kobieta spokojnie i rezolutnie — nie, nigdy!

Wtedy uczuła dotknięcie gorących ust na swej dłoni, które tak serdecznie przycisnęły się do niej jak wtedy przed rokiem i tak samo jak wtedy próbowała się napróżno uwolnić, ale teraz znała już

niebezpieczęństwo i głos jej drgał żałośnem błaganiem:

— Henryku, na Boga, nie mów teraz nie, oszczędź sobie i mnie strasznych męczarni! Wiesz przecie, że w możebność tego wierzę, że nie uważam się za uzdrowioną i że złudna nadzieja...

— A więc zawierz orzeczeniu swego lekarza — przerwał. — Wracam właśnie od doktora Eberhardta. Dużo mnie to kosztowało nim starego zmusiłem do mówienia, ale nakoniec dał on mi słowo, że życiu twemu żadne nie zagraża niebezpieczeństwo i że ręczy za twe wyzdrowienie. Dziś jescze dowiesz się tego z ust jego własnych. (C. d. n.)

Potęga prawdy.

(C. d.) Chociaż najszczersze jego życzenie, głęboko w sercu złożone, w tej chwili zostało zniszczone na zawsze, starał się odgadywać myśli i pragnienia swoich gości. Literatka dostała cudny kałamarz z muszli w srebro oprawnej, przyszło *gowerness*, torbę do podróży, z całym przyborem toaletowym, a *giełdzistka* pulares w oprawie z kości słoniowej ze złotemi klamrami.

Asta wiernie mu pomagała. Nie mógł jednak patrzeć się na jej usta bolem drgające, na ręce trzęsące się jak w febrze, i radby był wyzbyć się wszystkich jak najrychlej. I najwyższa męczarnia, kiedyś skończyć się musi. Drzewo stanęło ciemne i ogołocone z cacek prześlicznych, odebrano ostatnie słowo uznania i podziękowania, zamieniono ostatnie ręki uściśnienie i gościa ostatniego wyprawiono.

Asta bliska omdlenia upadła na sanki i kazała jednemu ze służących odwieźć się do pałacu.

— Słabo mi — szepnęła pani Bertrand — nadto się utrudziłam.... położę się natychmiast.

Franciszka szybko sięgnęła do kieszonki po flaszeczkę z eterem trzeźwiącym z miną tryumfującą, iż była na tyle przezorną.

Asta jednak ręką skinęła odmownie. Pani Bertrand schowała napowrót flaszeczki, głową niechętnie potrząsając.

Deltew pogonił za siostrą i dopadł jej na schodach.

Bezsilna zwisła na jego ramieniu, pozwalając mu się nieść prawie aż do pokoju sypialnego.

— Przebacz! — przytuliła się do niego, pierwszemi łzami wybuchając, gdy stanęli na progu. — I ciebie do głębi zraniłam, ale nie mogłam postąpić inaczej!....

Drzwi za bratem przymknęła i usłyszał zgrzyt klucza w zamku.

Zeszedł na dół mrucząc gniewnie:

— To mi bal dopiero! No! no! nie ma co mówić!....

* * *

Roman biegł przez park jak do szturmu. Śnieg trzeszczał pod stopami, wiatr mroźny smagał po twarzy.... on nie czuł tego. Czoło mu wstydem płonęło, skronie i mózg krew rozsadzała.

O! teraz rozumiał, że i człowiek, który przeszedł całą skalę wykształcenia nowoczesnego i stanął u szczytu cywilizacji, może tak samo unieść się dzikim szałem, jak owi protoplaści w skórach niedźwiedzich, tak samo nie spocznie, póki zniewagi krwawo nie pomści. Tak, zemsta, to rozkosz bogów!

On musi coś wymyśleć; znajdzie drogę, na której i od kobiety będzie mógł zażądać zadość uczynienia!

Odzyskał dopiero przytomność i równowagę, znalazłszy się u siebie, dokąd go nogi bezmyślnie zaprowadziły.

Pokoik ciasny i niski pierś mu przygniatał, więcej niż kiedykolwiek. Ruchem gwałtownym okno roztworzył. Wzrokiem błędnym w dal pogonił, po wyżej dachów śniegiem przypruszonych, tam, aż w bór ciemny.

Przed borem, w bladem świetle księżycowem, na tle świerków, występywały widmowato wspaniałe kolumnady pałacu Löwensternów.

Drgnął nerwowo na ten widok, i zdało mu się, iż słyszy głos tajemniczy, szepiący mu na ucho: — Stój!.....

Czyż nie tu, na tem samem miejscu, miał odwagę powiedzieć w ducha szczerości, iż musi ożenić się bogato, aby mu w życiu było dobrze i wygodnie? Czyż nie przechodził w myśli panny posażne i nie zatrzymał się na Ascie Löwenstern z krwią zimną, jako rozporządzającej liczbą najpokaźniejszą? Możesz jej brać za złe, iż myśl jego odgadła i bez ogródek prawdę w oczy cisnęła? Co za niedojrzałość umysłu! Jaki gniew śmieszny i prawdziwie studencki!

Zamiast wystąpić szczerze w obec niej z przyłbicą podniesioną i wykazać się zasadami uczciwemi, celami wzniosłemi, on starał się badać i śledzić jej usposobienie, karmiąc sofizmatami niedorzecznemi, nakłaniając ku własnym prądom i poglądom. A dziś radby się mścić.... za co? Że chcąc ją w pole wyprowadzić, oszukał sam siebie, gdy sądził, że mu tak gładko pójdzie zbyć Astę nazwiskiem starożytnem i stanowiskiem świetnem w przyszłości, w zamian za jej serce młode i pragnące uczucia szczerego i namiętnego. O jakiż z niego nędzny partacz, a nie żaden przebiegły dyplomata!

Czyż i w tem nie miała słuszności, odrzucając związek z człowiekiem, który tylko co zerwał niemal brutalnie stosunek z inną?. Nikt zapewne nie mógł żądać od niego, aby brał na serjo miłostki przelotne z taką lalką salonową jak Helena Althaus; każdy jednak miał prawo wymagać, żeby mąż dojrzały, nie młokos z mlekiem pod nosem, nie wdawał się w podobne bałamuctwa i nie przewlekał takowych przez

rok blisko. O! jakiż z niego chłystek próżny a bezmyślny!

Wplótł się samochcąc, w koło zupełnie zbytecznych i urojonych powinności towarzyskich; zgnuśniał w karjerze nieodpowiedniej jego zdolnościom i w tej nikczemnej postaci, karła salonowego, przedstawił się takiej jak Asta, kobiecie niepospolitej.

Może jednak i musi te szczerby zarównać. Musi oczyścić się w jej oczach i odzyskać szacunek, którego mu dzisiaj tak bezwzględnie odmawia.

Oto jedyna zemsta, która pozostała.

I rzecz dziwna! Gdy tak nim na przemian miotały, gniew, chęć zemsty, wreszcie winy uznanie i skrucha, zdawało mu się, że jeszcze ciągle widzi Astę przed sobą i słyszy jej głos. Ton jednak jej mowy był raczej żałośny, niż ostry, jak na sędziego przystało; w jej wzroku, w górę wzniesionym, była skarga istoty nieszczęśliwej i do głębi zranionej: była tęsknota nieokreślona za czemś, co na zawsze przepadło.

Wyglądała, niby owa zaczarowana królewna, która skarży się i ma ciężki żal do niego, iż nie umiał znaleźć zaklęcia odpowiedniego, aby ją uwolnić z pęt czarownika.

Na co to sobie przypominać!... Skończyło się wszystko... na wieki!...

I on więc starał się ręką silną, wymazać z życia, ten cały okres fatalny.

Odtąd stał się w towarzystwie niewidzialnym.

Na stołkach i stolikach w jego pokoju, leżały stosy map, książek i broszur. Tytuły, jak: — „Konsulat... polityka kolonialna... korzyści z handlu ze wschodem“... zewsząd biły w oczy. Oprócz tego, szperał widocznie w słownikach wszelkich języków europejskich, a nawet przychodził do niego codziennie młody Rosjanin, ajent pewnej firmy w Odesie i z tym ćwiczył się w mowie Puszkina i Karamzyna. Jakkolwiek w rodzinie arystokratycznej, z której pochodził, ćwiczono go niemal od kolebki w obcych językach, nie przeczuwano wówczas, iż taka chwila nadejść może, w której Niemcy będą zmuszeni rozpocząć mozolną naukę języków sławiańskich.

* * *

Dzień za dniem upływał, przynosząc coraz nowe rozrywki zapustne, zmieniając obrazy niby w kalejdoskopie.

Gdy rodzeństwo Löwenstern wyruszyło na pierwszy bal, z nieodstępną duenną panią Bertrad, otuloną w futra po same uszy i wiozącą ze zwykłą przezornością całą apteczkę rozmaitych eterów — Detlew pomyślał cicho wzdychając:

— Inaczej by się moja siostrunia wydawała, przy boku pięknego Gehrena! No! tego się na zawsze pozbyła. Dobrze to mówi przysłowie: — „Że głupstwo najbardziej kolosalne, może li palnąć rozumny!“...

Nagłe zniknięcie Romana, nie uszło powszechnej uwadze. Podawano sobie z ust do ust najrozmaitsze wieści, plotki i komentarze z tego powodu.

Gdy Löwensterny całe towarzystwo zgromadzili w swoich gościnnych salonach, owa piękna wdówka, która zmusiła ostatecznie Detlewa do zabawy na lodzie — spytała od niechcenia — przechadzając się po pysznie urządzonym ogrodzie zimowym:

— Gdzież to się podział piękny, a jak skała nieczuły baron Gehren? Nigdzie się z nim spotkać nie można. Pewnie składa jakiś państwowy egzamin. Te nieznośne egzamina teraz do samej śmierci mężczyzn prześladują... Ach! co to za ustroń czarowna!... Szmer cichy z bijącej fontanny, cała flora podzwrotnikowa, u stóp trawka naturalna, zasiana fiołkami parmeńskiemi, a nad głową kopuła kryształowa, przez którą widać niebo gwiazdkami mrugające! Prześliczne!... Muszę uszczknąć kilka fiołków i tę kamelję nakrapianą. Nasz kochany i wspaniały Amfitrjon, pewnie się o to nie rozgniewa... Rozkoszny chłopak!... i ma ten wielki rozum, iż nie wdaje się w egzamina do siwych włosów! Te wieczne nauki, wszelkie uczucia czulsze wyrugowały z serca naszych panów!

— Oh! dla egzaminu, żaden z nich przecie, uczuć swoich serdecznych nie wyrzeknie się i nie zaprze! — zaprotestowała żywo jej towarzyszka, poważna matrona, matka trzech drągalów, o których niosła fama stugębna, iż przepadli, dwaj w szkole wojskowej, trzeci w egzaminie państwowym, i dzisiaj polują zawzięcie na posagi, czy te u panien, czy u wdów się znajdują.

— Ale gdzie tam! — wdówka roześmiała się figlarnie, — u nich obecnie miłość własna i ambicja niepohamowana, gra rolę główną... „Niema mężczyzn już!“... — zanuciła walczyka z Gasparone, wpinając po stronie serca, bukiecik z fjołków i kamelji, z taką kokieterją wyrafinowaną, jakby chciała kłam zadać słowom własnym i spodziewała się ułowić jednego z tych nicponiów.

Podczas koncertu przed balem, do którego Detlew zaprosił sławnego wirtuoza, świeżo przez Liszta wymustrowanego, jakiś radca spytał półgłosem żonę lekarza, którego Löwensterny rad zasięgali:

— Cóż pannie Löwenstern brakuje? Wyglądała tak blado, jakby wstała po ciężkiej chorobie. A i baron Gehren znikł nagle z horyzontu. Czyż by te dwa wypadki miały się łączyć z sobą?

Dama, cała w muzyce zasłuchana i takt głową wybijająca jakiegoś walca w wściekłem tempie rąbanego po klawiszach, odrzuciła ni w pięć ni w dziewięć:

— Cudowna brawura! Co to warte takie pianissima przy których zasnąć można... Aha! pan radca pytasz o Astę... Choruje niestety jak każda miljonerka na nieufność i to jej nerwy rozstraja, że nie wierzy, żeby ją kto kochał dla niej samej.

— Na takie cierpienie rzeczywiście! — radca uśmiechnął się szydersko — i mąż pani specjalista od chorób nerwowych, trudno żeby znalazł lekarstwo odpowiedne.

— Dlaczego? — wtrącił siedzący nieopodal superintendent — lekarstwem powinny być słowa pisma świętego: — „Szczęśliwszy ten co daje, niż ten co bierze“.

Rozmowę nadto głośno prowadzono. Młody wirtuoz wzniósł w górę palce chude i wyciągnięte jak na torturach, głowę ku mówiącym zwracając. Nie tylko wzrok jego, nawet brylanty w licznych pierścieniach, zdawały się ciskać na zbrodniarzów gniewu pioruny. Dama i dwaj panowie ucichli natychmiast, płonąc wstydem jak żaki w szkole, gdy ich na czemś zakazanem profesor wyłapie.

— Dostał kosza, jak dwa a dwa cztery! — szeptali sobie na ucho rywale Gehrena, uszczęśliwieni, iż jeden z placu ustąpił i nigdzie się nie pokazuje, nawet na premierze dramatu sensacyjnego w sali teatralnej.

Nowo kreowany gołowąsy asesorek, zuchwały i zarozumiały, spróbował zająć miejsce Romana w loży Löwensternów.

— Nasi nowożytni Arcybiadesi— zaczął drwiąco. przeszywając Astę morderczem spojrzeniem — niepodobni do swojego pierwowzoru. Kunktatorzy, rachmistrze, dyplomaci! Szacowne nader przymioty, byle nie w roli amanta. Czy pani przypuszcza — nachylił się nad krzesłem Asty z poufałością zupełnie zbyteczną i prawie impertynencką — czy pani wierzy, żeby kobieta niezwykła, jak Timandra, mogła podobnego człowieka ukochać namiętnie?

— Sądzę — Asta lodowato odrzuciła — iż w ogóle, po takim Alcybiadesie, żaden więcej mężczyzna, nie może podobać się kobiecie. Straci gust do wszystkich... na zawsze.

Krzesło po za jej plecami natychmiast się opróżniło i zuchwały żółtodzióbek znikł z loży, także... na wieki...

Pomiędzy młodymi, nieżonatymi urzędnikami, kursował czas jakiś wierszyk częstochowski, jednego z najserdeczniejszych, tak Gehrena jak i owego żółtodzióbka:

„Kochali się dwaj panowie,
Nie chcę zdradzić w kim? i kto?
Pierwszy miłość miał li w głowie,
Drugi w sercu... niby to...
Panna dała im odkosza
Co wcale nie dziwi mnie,
Skoro dla miłego grosza
Nie dla niej, kochali się“.

W winiarni, gdzie zwykle zbierali się oficerowie na drugie śniadanie, było nie lada osłupienie i komentowanie faktu dokonanego, mianowicie: odznaczenia, jakie spotkało porucznika Althausa ze strony Asty.

— Na lodzie, jak na lodzie! ale wczoraj na balu kostiumowym u prezydenta sądu, rozmawiała z nim panna Löwenstern minut szesnaście i pół! — potrząsł głową znacząco oficer płatniczy z Maksa pułku, który już tylko liczbami umiał myśli swoje tłumaczyć.

„Souvent femme var e!“ — zacytował major niegrzeczne zdanie Franciszka I., machnąwszy ręką lekceważąco. Wyszedł, nie chcąc dalej słuchać o Althausa powodzeniach. I on wzdychał niegdyś do Asty nadaremnie, pocóż miał się takiemi plotkami irytować?

— Że nie przyjęła tamtego nieznośnego kunktatora Gehrena, nie dziwię się wcale. Wyglądał jakby jej łaskę robił, przynosząc w darze goły tytuł i zamek... żydom sprzedany... Mogłaby jednak znaleźć między nami chłopca tęgiego i energicznego, nie taką babę, jak ten Maks poczciwy.

I rzuciwszy okiem w zwierciadło pan adjutant pułkowy, podkręcił junacko czarne gęste wąsiki.

Lekarz pułkowy dokończywszy z flegmą szklanki z winem wycedził przez zęby:

— Kobiety silnej woli i duchem wyższe, mają właśnie słabostkę do mężczyzn bez energii po prostu... do niedołęgów.... Panowie!.... sługa wasz!

To wygłosiwszy, wyszedł z winiarni.

Pomiędzy rodzeństwem Löwenstern, o Romanie więcej wzmianki nie było.

Wiele razy atoli Detlew wracał do domu smutny i na śmierć znudzony bezmyślną w klubie paplaniną, Asta czuła instynktowo, iż nazwisko Gehrena zawisło mu na ustach.

A gdy odbył się pierwszy obiad wspaniały w pałacu Löwensternów, *pour pendre la crémaillere* i podczas wizyty wystąpiły owe kielichy szampanowe, które jeszcze Roman wybierał; gdy goście wznieśli je w górę na cześć gospodarza, gdy w nich szampan się zapienił i perły coraz ze spodu na brzeg wyskakiwały, Detlew wyczytał w źrenicach siostry, wlepionych bezmyślnie w kieliszek, a tak smutnych! tak smutnych!... wspomnienie mimowolne o drogim mu zawsze przyjacielu.

Choć o nim nie mówili, Roman stał wiecznie pomiędzy rodzeństwem, rzucając cień złowrogi na życie z pozoru tak wesołe, tak pełne blaskówułudnych, które w koło nich wrzało.

Jak się oboje cieszyli, jak nie mogli doczekać tej chwili, kiedy otworzą bramy pysznego pałacu dla grona znajomych i przyjaciół! A dziś wlekli się z balu na bal, z zabawy na zabawę, niby ciało bez duszy. Odetchnęli oboje, gdy zbliżająca się wiosna uwolniła ich nareszcie od nieznośnej pańszczyzny światowej. (C. d. n.)

Korespondencja redakcji.

Wny Leliwa pod Krakowem. Dawne wkrótce umieścimy a i nowe nam się przydać mogą.

Wna H. C. w Ł. Załatwiono. Przepraszamy serdecznie.

Wny J. G. w N. T. I tym razem nieudatne. Cokolwiek więcej starania w wierszowaniu.

„Drukarnia Polska“. Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.